

Dekada

Literacka

Tygodnik

Nr 4

ŚWIĄTECZNE
REFLEKSJE

Leszek Elektorowicz

Najradośniejsze święto chrześcijańskie, święto Narodzenia Pańskiego przypada w naszej szerokości geograficznej na dość ponurą porę roku. Świat stał się martwy, drzewa огоłocone z liści, ziemia stwardniała, pokryta całunem śniegu. Tradycja wprowadziła kojarzy ten czas z zimowymi zabawami i sportami, rozpoczyna się niebawem czas karnawału, ale to tylko ludzkie sposoby oswojania nieprzyjemnej natury, projekcje nostalgicznych rojeń na czas nieubłagany, srogi, w którym tylko niedźwiedzie znalazły właściwy modus vivendi zapadając w zimowy sen.

Lecz chyba właśnie w tym paradoksie narodzin w czas martwoty tkwi dla nas głęboki sens. Oto przychodzący na świat Zbawiciel ożywia obumarłą ziemię nadzieją wyzwolenia. „Bóg się rodzi, moc truchleje”, moc natury, ale też moc śmiesznych i okrutnych ludzkich uroszczeń. Te słowa koledy, śpiewanej w czasie okupacji, potem stalinizmu, a niedawno jeszcze w okresie stanu wojennego, nabrzmiwały szczególną treścią. Każda z generacji zawiera w nich inny inwentarz skojarzeń, proporcjonalny do ilości, ale też intensywności przeżytych lat.

I znowu zabłyśnie choinka, przeciw nocy, przeciw dyktatorowi natury, i znowu zasiądziemy do wigilijnego stołu, mniej sutego zapewne, ale polskim zwyczajem zastawionego ponad możliwości naszego stanu. Tak było zawsze w tym kraju; wojna nie wojna, kryzys nie kryzys, można było głodować na co dzień, ale Święta musiały błyszczeć barwną paletą potraw, no i trunków.

Wiele jest racji, dla których tegoroczne, już drugie z rzędu, Święta będą się różniły od obchodzonych w ciągu minionych dziesięcioleci. Będą one może chudsze, ale na pewno weselsze. Choć nie bez rozległych cieni zadumy zarówno nad przeszłością, jak nad okresem wyrzeczeń, który nam przyjdzie jeszcze przeżywać.

Kiedy zgromadzimy się przy opłatku życząc sobie możliwie miękkiego lądowania na twarde kamieniach wolnego rynku, zasiądziemy do stołu pozostawiając staropolskim zwyczajem jedno puste nakrycie, biała plama, puste miejsce dla niespodziewanego przybysza. Jeśli nie będzie to osoba z krwi i kości, może zastąpi go zjawia z przeszłości: ojciec zamordowany w Katyniu, brat spalony w oświęcimskim kre-

matorium, przyjaciel zagłodzony na Kołymie, żołnierz spod Monte Cassino, żołnierz Armii Krajowej zamęczony w ubekim więzieniu. I będą unosić się nad naszą koledą duchy pogrzebanych skrycie gdzieś pod Charkowem, ale i w Gibach, i przy Służewcu, i na dziesiątkach innych, rozslanych po Polsce nieznanymi cmentarzach. A także — tych z Wybrzeża z grudnia 1970, a także tych z kopalni „Wujek”.

Jak to? — spyacie — dzień Bożego Narodzenia przywoływałby wspomnienia zmarłych?

A przecież święcąc Narodzenie Jezusa mamy już w świadomości Jego śmierć na krzyżu. Jego zbawcza ofiara. Jednocześnie w niezbyt odległej perspektywie jest i Zmartwychwstanie. Dlatego po smutnym korowodzie wspomnień zasiadzie, przy pustym miejscu stołu, wreszcie postać jasna, promieniąca — Nadzieja, wraz z obietnicą swego spełnienia jako podarunkiem pod choinkę.

Przecież więc święto radości. Radości odzyskanej. Zrodzonej w ubogiej stajence. Okrytej rąbkami szaty.

W te cicha noc, święta noc z drogowskazem betlejemskiej gwiazdy.

Wacław Iwaniuk, poeta i żołnierz I Brygady Panczernej generała Maczka. Po wojnie osiada na stałe w Toronto. Jest autorem kilkunastu tomików poetyckich. Publikuje w paryskiej „Kulturze”, „Zeszytach Literackich” i w „Arce”.

Wacław Iwaniuk

Bezkrólewie

*Pamiętaj o słowie które nie jest twoją własnością
Pamiętaj o powietrzu które nie należy do ciebie
O kamieniu węgielnym kładzonym na wprost —
Historia bez retuszu.*

*Płatki róży w dłoniach blazna nie tracą koloru
Ani pomnik bohatera nie traci na czci.
Historyk ze mnie żaden
raczej wtórny kronikarz czasu wojny
zatrzymany wśród wielu zatrzymanych
podróżnik zakotwiczony na obcej mieliźnie
jestem bliżej siebie, choć daleko od siebie.*

*Rzym zabrał nam Wojtyłę
Rzeki na naszych oczach otwierają swoje brudne dna
Pomordowani w odkrytych grobach ożyli ponownie
Sprawiedliwi nicują sumienia
gdy kraj wciąż bez Konstytucji
prawo bez Kodeksu.*

*Gdzie się podziela Polska, pytamy retorycznie?
Czyżby wyemigrowała z chętnymi na Zachód?*

*Ziemia skrzy się od ludzi i ich ziemskich spraw
W snach odwiedza mnie norweska brzoza
samotna nad grobem strzelca Katyniaka
z Brygady Podhalańskiej
gdy ja wciąż żyję w kraju
szczodrym dla wszystkich
zastuchany w rozmowy przy „okrągłym stole”.*

*Chciałem być sobą i zostałem sobą.
Wziąłem w arendę nowy kraj
o nieograniczonych możliwościach
jak wolność gdańskich stoczniovców
choć wiem że ich słodki owoc
jest na razie cierpki.*

*Nie namawiałem nikogo do czynów wbrew
Ani Herberta ani Lebensteina
których spotkałem w Paryżu
przed zgonem poety W.*

*Nasz święty emigrant, Czapski
z kapliczki w Maisons-Laffitte
wszedł w Paryż duszą i ciałem
gdy Lebensteina świat jest inny.*

*Jeden z jego serii zagmatwanych dusz
mam u siebie w domu.*

*Uczucie nostalgii podobno nawiedza wszystkich.
Dziś po wczorajszych gruzach i popiołach
odpoczywam pod klonowym drzewem.*

Słońce zachodzi, jest jesienny wieczór.

Rekonesans „profesora”
i wiatr w kominie

Marek Rostworowski

Dr Marek Rostworowski, historyk sztuki, wieloletni dyrektor Muzeum Czartoryskich, twórca wybitnych wystaw plastycznych (m. in. „Norwid”, „Polaków portret własny”, „Żydzi — polscy”) wspomina żywą legendę Krakowa, barwną, niezwykłą postać: myśliciela i poetę, hrabięgo Xawerego Pusłowskiego.

Należał mu się tytuł najwyższy. Więc jak on, w Peerelu, mieli nazywać takiego człowieka? Kiedy ich spotykam — wtedy młodych a dzisiaj ojców i dziadków — mówią tak o nim ze wzmożonym jeszcze pietyzmem wspomnienia. Mówili także „stary” — „...do starego na kawę...”

Po wojnie miał już ponad siedemdziesiąt lat, ale wciąż jeździł na rowerze i wyskakiwał z tramwaju — nie było jeszcze automatycznych drzwi. Na parę dni przed śmiercią, ten dziewięćdziesięcioletni wajdelota z białą brodą zaniemówił; on, który godzinami potrafił czytać głośno wiersze i opowiadać „Dichtung und Wahrheit” o — historii i mitach, literaturze i własnych przeżyciach, ewenementach politycznych i towarzyskich plotkach... a wszystko to plotło się w jedną baśń, w której na przykład Semiramida mogła niepostrzeżenie zamienić się w „misiunię” z słowymi loczkami, końską szczęką i wypukłymi, błękitnymi oczami, dawną guwernantkę trzech

(DOKOŃCZENIE NA STR. 4)

Toronto, wrzesień, 1990

Po raz pierwszy zetknąłem się z Miłoszem w czerwcu 80 roku. Właściwie wcale się nie zetknąłem: widziałem go, z niewielkiej odległości, na spotkaniu w dawnym ZLP na Krupniczej, gdzie zjawiał się na bodaj 15 minut z przeszło godzinnym opóźnieniem w narzuconym mu „towarzystwie” milicyjnej obstawy (jakby z naszej strony miało mu coś grozić). Był spięty, czułem jego hamowaną wewnętrzną irytację, może jakiś niepokój, choć starał się mówić swobodnie. Krótka jednak i zdawkowo, powtarzając, na pytania, parę rzeczy znanych z „Rodzinnej Europy”. Potem była sesja na Uniwersytecie, a właściwie rodzaj naukowego nabożeństwa ku jego czci. Wyszedł zaraz po pierwszym referacie. I jeszcze potem spotkanie z pracownikami naszego Instytutu na Sw. Anny, na które jakiś 2-metrowy ubek mnie nie wpuszcili.

Zresztą był wówczas w ogóle nieco spięty, przepelniony niemal rodzajem skrywanej agresji i nieufności, maskowanej nie pozbawioną wdzięku nonszalancją. Potwierdzał to wszyscy moi koledzy z warszawskiego oddziału ZLP. I wcale się temu wówczas nie dziwiłem. Zawsze sam przedstawiał siebie wprost jako „aroganta”. A tutaj, w kraju, musiała go przecież nie odstępować pamięć, gdy jego związkowi koledzy poświęcał mu „Poematy dla zdrajcy” i setki innych jeszcze bardziej obrzydliwych kalumni. A teraz co? Sama serdeczność. Drogi Czesław... Nasz Noblista... Czuł się zapewne jak jakiś przedziwny okaz fauny w ogrodzie zoologicznym. Uciekał w życie prywatne. Do paru przyjaciół — Turowicza, Malewskiej, Błońskiego...

Kiedy dowiedziałem się, w ubiegłym roku, że z początkiem roku akademickiego Miłosz znów ma nas odwiedzić, byłem, przynajmniej, pełen niechęci i obaw. Był Miłosz od 30 lat najbliższym mi poetą, znanym niemal na pamięć. Nie chciałem, żeby Miłosz-Osobnik psuł mi tę poetycką przyjaźń, o której nic przecież nie wiedział. Wiedziały jednak jego wiersze, równie dobrze jak ja.

Nie brałem udziału w podniosłej uroczystości nadania mu stopnia doktora honorowego naszego uniwersytetu. Jakoś się nie złożyło. Ale na wieczorze poetyckim w auli (pewnie z racji zbyt-niej troski organizatorów o komfort poety) było nieco sztywno, nazbyt oficjalnie i uroczyste („ściśle za zaproszeniami”). Dostojnie było, owszem. I chłodno. Piękne wiersze, czytane niezrównanym melodyjnym, miłym a mocnym głosem dawnego mieszkańca kresów, o genialnym uchu muzycznym, trafiały w nieco zdawkową ciszę. Publiczność była jak gdyby uroczystość przyczajona. I Miłosz natychmiast to wyczuł. W pewnym momencie przerwał czytanie jednego z najpiękniejszych swoich poematów, utworu bardzo dramatycznego, dotyczącego spraw ostatecznych, a przy tym niezmiernie dowcipnego, dowcipem najwyższej literackiej i filozoficznej próby. Resztę tekstów przeczytał w jakimś pośpiechu.

Podpisał automatycznie mnóstwo książek i szybko zniknął z tego miejsca celebrowania poetyckiego nabożeństwa.

Lecz za tym pobytem miało też miejsce parę spotkań prywatnych, z młodymi poetami, pracownikami naukowymi, z redakcją powstającego „Na Głosu”, parę swobodnych nieoficjalnych kolacji, mini-bankietów. I coś odtajało. Kiedy w ciągu paru następujących dni Miłosz wygłosił cykl wykładów w auli, był to już inny Miłosz i inni jego słuchacze. Organizatorzy przestali tak surowo dbać o „wzorowy porządek”. Aula była zatłoczona do ostatniego miejsca siedzącego, stojącego i leżącego na podłodze. W wyposażonym w głośniki i monitory ogromnym westybulu panował ścisk. Studenci w tłoku wchodzili niemal Miłoszowi na rektorską katedrę. A on był swobodny, pełen swady, wyraźnie poczuł się

sobie ludzie. O poezji (niekoniecznie Miłoszowej) dużo. O Krakowie. O Wilnie. O studentach. Jakbym rozmawiał z któryś z bliskich mi osobliście krakowskich profesorów czy pisarzy.

Piszę o swoich wrażeniach nie po to, by pisać o sobie. Myślę bowiem, że te moje czysto osobiste wrażenia dotyczące oswojenia się z Osobą Miłosza stanowią zarazem drobny symptom wrastania Miłosza w Kraków i nasz uniwersytet.

Kiedy w trakcie tamtego pobytu Miłosz miał wspólne spotkanie autorskie ze Stanisławem Barańczakiem, a potem z Tomaszem Venclovą, to on się wówczas wyraźnie czuł w wypełnionej po brzegi auli u siebie, zachowywał się jak czyniący honory domu gospodarz, osuwając niejako gości z własną, znajomą mu publicznością.

MIŁOSZ W KRAKOWIE

Stanisław Balbus

u siebie, widać było, że mówi do swoich i czuje się swojo wśród nich. Był taki, jakby od lat wykladał dla tej młodzieży, na tym właśnie uniwersytecie. Czuło się niemal elektromagnetyczne fale wzajemnych powiązań. Dialog wykładowy z milcząca salą.

Króciutki pożegnalny raut w sali senackiej był spotkaniem rodzinnym. Wtedy po raz pierwszy rozmawiałem z Miłoszem. Rozmawiałem „z doskoku” (raut był „chodzony”) ze dwa razy, chyba po 5–10 minut. Rozmawiałem tak (i on ze mną), jakbyśmy się znali od dawna. I tak się też wówczas z nim pożegnałem. Nie wiem, pewnie dlatego, żeby ułatwić mi zamaskowanie wzruszenia, Miłosz w tym pożegnaniu przeszedł nagle na angielski, by — niby to w cudzoziemiu, niby pół-zartem — powiedzieć mi coś bardzo serdecznego.

Kiedy w parę miesięcy później, wiosną tego roku, znów do Krakowa zawitał, pierwszy do mnie zadzwonił (a nie utrzymywaliśmy żadnej korespondencji), proponując prywatne spotkanie we dwójkę. Oczywiście wiedział, że jestem autorem dużej pracy o jego technikach wierszotwórczych, do których przywiązywał zawsze ogromną wagę; wiem skądinąd, że ją cenil. Ale o tym wówczas, poza jakąś wzmianką jego mimochodem, nie rozmawialiśmy. A rozmawialiśmy jak od dawna bliscy

To się czuło wyraźnie. Czuł to chyba każdy uczestnik tych spotkań. Miłosz był w Domu, tamci — to byli Drodzy Goście, jego i nasi, chociaż Barańczak był moim kolegą jeszcze w czasach studiów. I za swojego uznali też Miłosza nasi studenci, jak czułem wyraźnie siedząc pośród nich i słuchając jego wierszy czy wykładów, będących w istocie na wpół dialogującymi z milcząca (ale przecież także i potem zadająca pytania) publicznością pogawędkami. Mimo iż były to normalne wykłady uniwersyteckie. Przychodząc na wykłady Barańczaka lub Venclovy, siadał w tłumie pośród nas, jak jeden z nas; był wtedy po prostu „zwykłą” cząstką krakowskiej publiczności.

Podobnie było tej jesieni z Jozefem Brodskim. Miłosz był u siebie. Czynił znów honory domu, czy to prowadząc poranek autorski Brodskiego w auli, czy to nawet uczestnicząc w bankiecie wydanym przez rektora i prezydenta miasta w Modlnicy. Był wówczas po prostu kimś z naszego grona profesorskiego. I niekiedy — nie tracąc właściwego mu subtelności i ciepłego dystansu — pozwalał się nam traktować jak „kolega z tej samej uczelni”.

Któregoś wiosennego popołudnia (za jego poprzednim pobytem) spacerowaliśmy we dwójkę Plantami, rozmawialiśmy małowrotnie i jakby leniwie, bo dzień był upalny, trochę „o

wszystkim”. Miłosz przystawał, rozglądał się, robił porównania Krakowa z przedwojennym Wilnem. I w pewnym momencie powiedział, patrząc z wyłotu Siennej na Mały Rynek i wieżę Mariackie: „To mogłoby być moje miasto”. Nie wiem, czy cokolwiek mogłoby mu zastąpić tamto miasto, wrośnięte w jego pamięć, które stało się już tylko Miastem Bez Imienia. Ale tak powiedział. Chociaż dodał po chwili: „Nie, jednak za późno. Nie wiem, czy mogłoby tu pracować. A poza tym nie miałbym tu od was chwili spokoju”. To ostatnie zdanie brzmiało bardzo ciepło. „Wy” — to oznaczało „wy — moi”. Potem rozmawialiśmy o jego wykładach, o reakcjach studentów i Poeta użył nagle, jakby mimochodem, zwrotu „n a s i student”, myśląc o studentach jego i moich, o studentach Uniwersytetu Jagiellońskiego po prostu.

Podczas innego spotkania w szuflowym gronie przyjaciół, Wisławy Szymborskiej, Teresy Walas i znakomitego „miłoszologa”, Olka Fluta — powiedziałem Miłoszowi, że trudno nam znaleźć w rozmowach z nim właściwą formę zwrotu: „Proszę pana” brzmi oficjalnie i nijako, „Panie Czesławie” z nader niestosowną poufałością, „Miśtrzu” sztucznie i pompadycznie. Na co Wisława: „Na szczęście jest pan profesorem. Ja będę mówiła: profesorze”. A Miłosz: „Proszę pani, ja najbardziej czuję się honorowym doktorem naszego uniwersytetu. To mówcie do mnie: doktorze”. I zaśmiał się w swój charakterystyczny sposób. Tak, powiedział: naszego uniwersytetu, nie mając na myśli ani Berkeley, ani Uniwersytetu Stefana Batorego. Dokonał lirycznej autostryfikacji. Było to w moim odczuciu czymś więcej, niż jego doktorat honoris causa.

Ach, i przypominam sobie jeszcze jedno. Kiedy na zamknięte spotkanie z Miłoszem w siedzibie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich zaprosiłem jednego z ówczesnych studentów (dziś już magistra), poetę i członka Klubu Młodych Pisarzy, Adama Michajłowa, a następnie przedstawiłem go Poecie, zostawiając ich na kanapce samych, rozmowa ich, wyłącznie z inicjatywą Miłosza, przeciągnęła się prawie do pół godziny (a każdy chciał z Wieszczem zamienić choć kilka słów). A potem Miłosz bardzo serdecznie mi dziękował, że umożliwiłem mu „kontakt z tak interesującym młodym człowiekiem”.

Trudno mi nieraz uwierzyć, że Miłosz, którego 10 lat temu zobaczyłem i usłyszałem na Krupniczej, i Miłosz, o którym tu właśnie piszę, to zupełnie ta sama osoba. Kiedy mu tej jesieni o tym powiedziałem na spotkaniu w Modlnicy, odrzekł po prostu: „Sam się dziwię. Wtedy byłem na wszystkim dookoła wściekły, czułem się jak jakiś okaz. No, a teraz to ja jestem krakowianin. Krakus — tak się mówi, co?”

No, tak się mówi. I tak się czuje. Obustronnie, jak widać.

Kraków, 19 XI 1990 r.

Między dźwiękami

Talentem świata obywatel

Leszek Polony

Przebrzmiały echa Konkursu Chopinowskiego. Nieco znużony tą imprezą — nie samą muzyką Chopina oczywiście, lecz prawdziwym natłokiem nieudanych jej interpretacji — sięgnąłem kiedyś w wolne przedpołudnie po kasetę z najnowszymi nagraniami chopinowskimi Krystiana Zimermana: balladami, Fantazją f-moll, Barkarolą Fis-dur. Gdy przed kilku miesiącami pisałem do Ruchu Muzycznego cykl esejów o sztuce odtwórczej Krystiana Zimermana, wspominałem o tych nagraniach tylko mimochodem. Nie dlatego, iżbym nie był do nich w pełni przekonany. Od początku zdawałem sobie sprawę z ich „kontrowersyjności”. Niedobre to zresztą słowo: pojęciowy wytrych, którym usiłujemy określić to wszystko, co wyłamuje się z powierzchownej mo-

dy czy przyjętej tradycji wykonawczej.

Dziś słucham owych nagrań i zachwycać się bez reszty nie tylko niedoścignutym warsztatem pianistycznym Zimermana, ale przede wszystkim odkrywczością jego interpretacji Chopina, jej cudowną, epicką poetyką. Wydaje się zrazu emocjonalnie chłodna i powściągliwa. Jakiż ogromny kontrast z grą młodzieńczego, 19-letniego Krystiana sprzed 15 lat, gdy sięgnął po najwyższe laury w konkursie! Wtedy kipiał temperamentem, namiętnym, wzburzonym i dramatycznym romantyzmem. Dziś jest nadzwyczaj skupiony i spokojny. Chopinowska melancholia nabiera w jego interpretacji niezwykłej głębi i kondensacji. Początki ballad zachwycają najbardziej wyrafinowanymi pianami, dyskretnymi zaważaniami frazy,

wytrzymanymi do ostatnich granic pauzami — słowem, nieopisanie subtelną, niuansową grą nastrojów rozmarzenia, nostalgii, tęsknoty, żalu, zasmucenia.

Chopinowskie ballady — rapsody mają wszakże niejedno oblicze. Jest w nich także wzburzenie, porywczność, żarliwość, patos, heroizm. Jest ekstatyczne uniesienie miłosne. Jest żalobna elegijność narodowej dumy. Są i chwile modlitwy.

Odnoszę wrażenie, jakby w grze Zimermana całe owe kłębowsko namiętności zyskiwało obiektywny, epicki wymiar — jak w opowieści barda, która rozstrzyga przed nami różnorodne obrazy, wciąga nas momentami bez reszty w wir wydarzeń, ale i co chwila przypomina, że mowa o przeszłości.

Olśniewająca pianistyka

Krystiana Zimermana, cudowny rozwój jego talentu, pozostają nieznane szerszemu kręgowi polskich słuchaczy, a nawet profesjonalnemu środowisku muzycznemu. Miałem okazję się o tym przekonać w rozmowach z muzykologami i pianistami. Zachwycają się Martą Argerich, Maurizio Pollinim, czy niezwykle modnym ostatnio, rzeczywiście fenomenalnym Murrayem Perahią — na dźwięk nazwiska Zimermana natomiast kręcą głowami.

Za pośrednictwem agencji Macieja Frączaka, współpracującej z zachodnimi firmami fonograficznymi, sprowadziłem sobie dwa nagrania Krystiana Zimermana z ostatnich lat: Koncert fortepianowy, B-dur Brahmsa z Wiedeńskimi Filharmonikami pod batutą Leonarda Bernsteina oraz Koncert fortepianowy Liszta z towarzyszeniem Boston Symphony Orchestra pod dyktando Seiji Ozawy. Poznałem te nagrania już wcześniej dzięki Adamowi Rozlachowi z katowickiej Rozgłośni Polskiego Radia. Kiedy je usłyszałem,

postanowiłem je zdobyć za wszelką cenę.

Oba są wspaniałe, lecz to drugie — to po prostu fonograficzna rewelacja. Trudno mi dzisiaj wyobrazić sobie bardziej efektowne, błyskotliwe i precyzyjne dźwiękowo, a zarazem tak porywające skalą ekspresji wykonanie obu koncertów Liszta oraz demonicznego „Tańca śmierci”.

Dlaczego te płyty nie są dostępne w naszych, powstających jak grzyby po deszczu, sklepach muzycznych — w miejsce całego mnóstwa fonograficznej lichoty? Gdzie wasz handlowy zmysł, panowie przedsiębiorcy od płyt, kaset i dysków? Oto na naszych oczach, w naszej przytomności, narodził się jeden z największych pianistów II połowy XX wieku. Jest naszym rodakiem, choć w ojczyźnie nie znalazł właściwych warunków — kiedyś nawet nie mógł wywiązać się z kontraktów koncertowych, ponieważ nie otrzymał w porę paszportu od polskich władz. Żyje więc w Szwajcarii — sercem Polak, a talentem — świata obywatel.

braci — Nela, Sawa i Mira. W mojej dziedzinie pamięci ona była już tylko uosobieniem fascynującej, tajemniczej starości. Stryj Sawa bez żenady opowiadał przy stole o jej naiwnościach, bo nie nauczyła się ani słowa po polsku żyjąc przez sześćdziesiąt lat w Krakowie i Czarkowach. Jadła tylko w milczeniu tą swoją, wypadającą czasem szczęką nie rozumiejąc co się mówi, albo odzywała się nagle mentorskim tonem do swojego, dobrze już dorosłego wychowanka. Oczywiście nie miał żadnej profesury — nie ukończył ani prawa, ani filozofii, które studiował w Krakowie i w Berlinie, a był... majorem kawalerii, sekretarzem premiera Ignacego Paderewskiego podczas konferencji pokojowej w Paryżu, tłumaczem misji zagranicznych podczas powstania i plebiscytu na Śląsku, nieurzędowym szefem protokołu prezydenta Krakowa — przyjmował i oprowadzał wszystkich znaczniejszych gości — prezesem wielu klubów sportowych, między innymi Makabi w Nowym Korczynie, prezesem Towarzystwa Polsko-Szwedzkiego, bywalcem bóżnicy, przyjacielem syjonistów, wiernym katolikiem, kolekcjonerem dzieł sztuki, amatorem ogrodnikiem, po wojnie lektorem języków obcych na Akademii Górniczej i Politechnice Krakowskiej, tłumaczem przysięgłym z i na francuski, angielski, niemiecki i łacinę, wykładowcą przy katedrze anglistyki na UJ, wiceprezesem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, członkiem Komisji Literatur Zachodnich Polskiej Akademii Umiejętności... na zewnątrz człowiekiem towarzyskim i pełnym życia, na dnie samotnikiem, rozdartym i smutnym; przede wszystkim i we wszystkim — poe-
ta.

„Gdziekolwiek pójdiesz krzyż za tobą będzie;
Niesiesz Strach wieczny do grobowej deski,
Samego siebie odnajdując wszędzie,
Z większą tęsknotą Ojczyznę niebieskiej —
I oóz za życie takie uciekanie?
— Ze strzałą cierpienia w ranie”.

(VI. Gwiazdy, ze zbioru „Castrum Doloris”, 1909)

Wydał kilka tomików poezji, a pozostała po nim skrzynia rękopisów — wierszy i przekładów poetyckich — prawdziwa *Silva rerum*, a w niej i błędne ogniki i klejnoty. Od lat obiecuje sobie zgłębić ją kiedyś i przygotować wydanie.

Ustny tytuł profesora otrzymał po raz pierwszy w dniu 19 stycznia 1945 na zamku wawelskim, od dwudziestoletniego wtedy Andrzeja Ciechanowskiego. Był to już sygnał innej epoki, bo przed wojną funkcjonował jako hrabia.

XAWERY PUSŁOWSKI, SYN ZYGMUNTA PUSŁOWSKIEGO, sfrancuziałego Litwina i córki sybiraka, Marii Moszyńskiej, został wychowany na patriotę polskiego, litewskiego i europejskiego. Taka formacja jest dobrze znana każdemu, kto interesuje się polską literaturą, historią lub nauką. Jego własne usposobienie było dość dziwną mieszaniną wolterlańskiego sceptycyzmu ojca i gorącej wiary i romantyzmu po matce. Lektury domowe, to Byron, Walter Scott, Shakespeare, klasyczna i romantyczna poezja polska, francuska, angielska i niemiecka, francuska i angielska powieść... Własne zaangażowania literackie, to znów symbolizm, dekadentyzm i modernizm, w polskim widnokręgu — neoromantyczna epoka Młodej Polski, Wyspiańskiego, Małczewskiego — piszącego też wiersze — przyjaciela rodziny, wreszcie osobisty wpływ ciętłego brata, a po śmierci rodzonych — jedynego brata z wyboru, Karola Huberta Rostworowskiego.

Nie trzeba przypominać, czym w owym czasie był dla Polaków Wawel, czym stał się po odzyskaniu niepodległości, czym w roku 1945, zwłaszcza dla tego pokolenia, które przechowywało w nim polskość jeszcze przez lata niewoli z udziałem tylu artystów i poetów — no i dla krakowianina.

Noc w mieście głęboka; Skamander
wiślaną świetląc się falą potyjska,
a stróżę wąsalsę ścisnąjąc mieczyska
i hasłem zawodnem się żalą.

To spojrzą ku stolpom, to patrzą do
dwóra,

czy nuta dobiegnie wołania!
czekają wielkiego witezia Hektora,
czekają swojego hetmana.

(Stanisław Wyspiański, Akropolis,
akt II, didaskalia)

Jeżeli nieregularny a malowniczy zlepek budynków z różnych epok mógł w wyobraźni poety przemieniać się w Akropol, Wisła w Skamander, a sarmacki hetman w Hektora, to znaczy, że nie ma granic dla polskiego ducha. Bo przecież nie mowa tu o architekturze, ani o bohaterze z książki. A nie ma prawie krakowskiego pisarza i artysty z końca XIX i początku XX wieku, w którego twórczości Wawel nie byłby symbolem. Pusłowski był jednym z nich. Wyobraźnia nie była jego słabą stroną. Czemuż by i on nie miał poczuć się witeziem — Hektorem.

Nazajutrz po wyjściu Niemców stryj Sawa z całym swoim młodzieńczym entuzjazmem postanowił pójść na Wawel. Namówił też wiernego słuchacza swoich opowiadań, Andrzeja

Ciechanowieckiego przybyłego w ubiegłym roku z powstańczej Warszawy, i mnie. Było rano, na nie sprzątanym ulicach skrzyptał zmrożony śnieg; on, jak zwykle, w płaszczu z włóczkowym szalkiem wystającym ponad koinlerz, w czapce cyklistówce i z laską; Ciechanowiecki w długim, dobrze skrojonym kożuchu — zawsze był elegancki — w kapeluszu i także z laską. Weszliśmy od strony ulicy Bernardyńskiej. Po wzgórzu zajętym poprzedniego dnia przez Armię Czerwoną, kręciło się dużo żołnierzy; żadnej administracji cywilnej. Najpierw poszliśmy do katedry, która po tych latach trzęsienia ziemi wyglądała tak jak zawsze, jak ją pamiętałem, jak u Wyczółkowskiego, Wyspiańskiego — brakowało arrasów, które pierwszy rysował, a drugi opisał w Akropolisie — i tylu innych. Dopiero przy wejściu z dziedzińca do zamku zatrzymała nas straż, i wtedy Adi gładko i bez zawahania przedstawił: „Izwienicie, eto profesor Pusłowski...” — dalszego ciągu nie pamiętam w oryginalnym brzmieniu, ale treść była taka, że profesor przyszedł obejrzeć Wawel, żeby sprawdzić stan zbiorów sztuki, i że prosimy o ułatwienie nam tego. Tak się też stało. Straż wezwała oficera, i Adi odbył z nim krótką, uprzejmą rozmowę rosyjską, która wprawiła mnie w zdumienie; nie byłem w stanie zorientować się na ile jest poprawna czy improwizowana, ale była tak płynna, jakby się nią stale posługiwał.

Weszliśmy prowadzeni przez oficera, rozglądając się po ścianach, zauważając braki i natrafiając na ślady rozgłoszenia się gubernatora. W niewielkim gabinecie Zygmunta III była damska sypialnia żony, czy córki Franka, który mieszkał w sąsiadującym apartamencie prezydenta Rzeczypospolitej. Urządzono bibliotekę, jednocześnie chyba miejsce posiedzeń, z ciężkimi meblami, fotelami i kanapami, salę konferencyjną, i kino w zaciemnionej sali Senatorskiej. Obeszliśmy cały zamek może jako pierwsi Polacy, którzy postawili wolną stopę na Wawelu po z górą pięciu latach.

Stryj Sawa był szczęśliwy odnajdując „swoją Wawel”, choć wydeptany przez intruza. Oczywiście mówił po rosyjsku — przez cztery lata internowany w Moskwie po spaleniu pałacu w Czarkowach, za przyjmowanie legionistów — ale w tej sytuacji wolał zdać się na zaradność młodego człowieka, z uśmiechem obnosząc tylko godność profesora, wysoką w oczach ludzi radzieckich, którzy chodzą i sprawdzają. Raz dobrotliwie nazwał młodego oficera „golubczyk”. Bo

to nie żołnierz jest najędźcą; on tylko wypełnia rozkazy i ryzykuje własne życie. Sawa przy wszystkich swoich „dziwactwach” miał zrozumienie etosu wojakowego; — lubił na przykład podkreślać skromność swoich osobistych potrzeb, której nauczył go koszar — także więzienia. Bogactwo było dla niego swojego rodzaju ciężarem. Z wielkim trudem i niepokojem parał się ze swoim dużym majątkiem, na który składały się: krakowski dom pełen dzieł sztuki, klucz Czarkowy nad Nidą i lasy z fabryką papieru w Kuczkuryskach na Litwie. A jednocześnie miał kult ojcowizny i poczucie odpowiedzialności za nią.

Po wojnie i utracie ziemi bardzo pragnął uchronić dom i zbiory; dlatego, pod groźbą usunięcia z mieszkamnia przez wszechwładnego wówczas prorektora UJ Bolesława Drobnera, w roku 1953 zdecydował się darować uniwersytetowi nieruchomości wraz z częścią kolekcji, pod warunkiem pozostawienia go jako kustosa. W skrytości ducha miał nadzieję przeżyć zły czas. Reszta zo-

stała objęta przez uniwersytet po śmierci Xawerego, i zbiory Pusłowskich wzbogaciły muzeum w Collegium Maius. Niedawno, dzięki pomocy Andrzeja Ciechanowieckiego, to muzeum pozyskało piękną *Venus Quentina Metsysa* zrabowaną Pusłowskiemu przez hitlerowców. Drugi zrabowany obraz, „Rzeź niewinnych” *Lucasa Cranacha*, zrewindykowany został przez Muzeum Narodowe w Warszawie.

Pisząc o tym, chcę postawić pytanie, czy zbiory nie mające żadnego związku z uniwersytetem, nie powinny znaleźć się znowu w pałacu z ogrodem przy ulicy Andrzeja Potockiego 10, dawniej Westerplatte, dawniej Ost Ring, dawniej Andrzeja Potockiego, dawniej Kolejowej. Zachowanych rezydencji jest w Polsce bardzo mało. Wawel i Zamek Królewski w Warszawie są własnością narodu i czymś wiele więcej niż dawnymi rezydencjami; ale wiejskie pałace i zamki, Wilanów, Łańcut, Rogalin czy Kozłówka, wywłaszczone po wojnie i zamienione na muzea, zostały przez to zdeautentyzowane.

Pałac Pusłowskich, a raczej willa we włoskim stylu, była zamieszkała do roku 1968. Dziś zamieniona na magazyn obcych przedmiotów, mogłaby z powodzeniem zostać przywrócona do dawnego stanu jako rodzaj skansenu — mówiąc językiem muzealnictwa — nie istniejącej już kultury. Bo ta rodzina żyła tak, jak nikt dzisiaj nie żyje i żyć już nie będzie — samymi tylko ideami, własnymi problemami, i sztuką, przenosząc sprawy praktyczne w sferę emocji, refleksji i wyobraźni. Emanuel, starszy brat Xawerego, z wykształcenia matematyk, widząc pranie wiszące na sznurze obliczał rozkład ciężarów kształtujących łuk, a muzykę nazywał modlitwą matematyki; Xawery po Mickiewiczowsku zachwycał się kolorami zbóż, ale nie rozróżniał ich rodzajów; znał się za to na rzadkich gatunkach ozdobnych drzew, które umiał uprawiać po łacinie, i sadił w krakowskim i czarkowskim ogrodzie; najmłodszy, ukochany przez wszystkich Włodzimierz, zginął samobójczo w wieku dwudziestu dwu lat, co było przyczyną dożgonnych zgrzytów w rodzinie; ich ojciec cały dzień spędzał w wielkiej bibliotece, a wieczorem głośno czytywał rodzinie zmyślaną na bieżąco, fantastyczną gazetę. W parku, w roku 1910 usypiano dziesięciometrowej wysokości kopiec „Grunwaldzki”, z którego obserwowało się przez lunetę gwiazdy — czynność bardzo podejrzana dla władz rosyjskich; na krótko przed ostatnią wojną powstał grecki amfiteatr; dyskusje literackie i filozoficzne zastępowały sprawy gospodarskie. Takie życie w abstraktach, nie podpierane realiami, musiało się rozpaść. Pozostawiło jednak fascynację, która przetrwała do dziś dnia w pamięci tych, którzy znali Pusłowskiego —

jako „Sawę”, „stryja” czy „wuja”, „hrabiego”, „prezesa”, czy „profesora” — a także tych, którzy znają go już tylko z czyichś opowiadań. W roku 1982 studentka pochodząca ze wsi w okolicy Czarków, obroniła pracę magisterską o genealogii Pusłowskich; bo fascynowali także ludzi wiejskich. Wspaniały czarkowski park, zarosnięty i ledwo czytelny, stoi jednak jak zaczarowany — do dziś nie tknięty prawie chłopską siekierą, bo Sawa uczył młodych ludzi szanować stare drzewa.

Po tym wymarłym gnieździe prywatnego ciepła i dreszczów prywatnych tragedii, egocentrycznych upodobań, jednocześnie idealizmu i poświęcenia życia przekonanego o racjach, z których los zadrwił, i których „bazę” zakwestionowała „sprawiedliwość społeczna”, pozostał jednak żywy, bo artystyczny ślad w murach, drzwiach, oknach, w istniejących jeszcze choć rozproszonych przedmiotach, meblach, obrazach, bibelotach, pomysłach, książkach, fotografiach, listach... które mogłyby wrócić do swoich kątów; ślad, który może wzbudzić rezonans, i refleksję nad zagadką psychiki i losów ludzkich.

Xawery Pusłowski, paradoksalnie, przekazał to residuum prywatności socjalistycznemu państwu. Czy *pro publico bono*? O tym chyba nie myślał, a tylko o przetrwaniu wbrew wszystkim tej Norwidowskiej „architektury”, gdzie duch się jego mieścił — tego Mickiewiczowskiego „kantorka”, w którym będzie kołatał po śmierci — „duch mój, znów twórczy, tam wróci”, tymi słowami zakończył jeden ze swoich późnych wierszy.

Na dworze cicho mży —
Na martwe liście mży —
A w domu słychać skargę niemych
rzeczy

Żal spaczenia i rdzy...
Głos taki smutny, taki nie-człowieczy
Nagle cię w tródoze pograży:
Drzwi skrzypną... przeszłość wionie
przez kobierce...
„Tak — tak — tak” — cicho krąży —
Brzęk struny!... mogło tak pęknąć
i serce,
Gdy życie poszło na wspan...
„Tak” —
Coś w starych domach tkwi gdzie pękło
serce —
„Tak — tak”.

(Castrum doloris, XVII, 1909)

Na dworze wieher...
Lecą liście z drzew...
Krzyk nagły sowy ścina w żyłach
krew —
Coś brzękło... przez okna szczyby
Nieubłagany spotyka Cię wzrok —
To mignął cienisty mrok.
Drzwiami targnięto... niby
Wiatr się mocuje — powstajesz
z barlogu:
Jeden krzyk! Jeden krok!
— Stoi Śmierć na progu.

(j. w., XXV)

Ziemia jest szerszą od roli kawałka,
Gdzie nędra mieszka;
Dla tego wiatru, eo w kominie żałka,
Jest w morzach ścieżka.
Morza sinego jest więcej niż ziemi;
Wolność skrzydłata
Baja z mewami nad walki ludzkimi
O rządy świata.
Od morza głębszem jest gwiazdziste
niebo
Z zagadką mroczną;
Pytania ludzkie, acz związane z glebą,
Nigdy nie spoczna.
(j. w., „In Paradisum deducant te Angeli”)

Co to jest „wiatr w kominie”, dlaczego może żałka w wierszu — za mojego dzieciństwa wiedział to każdy. Urodzonym w domach centralnie ogrzewanych trzeba już wytłumaczyć. W starych domach, kiedy zawieje silny, późnojesienny wiatr, lkanie szarpie powietrzem pomiędzy otworem komina a szparą uchylonych drzwiczek pieca. Ogień wtedy buzuje albo przygasa, a człowiek wsłuchuje się w świst porywów i przeciągów przemijania.

Marek Rostworowski

P.S.

Wziąwszy do ręki tekst napisany przed siedmiu laty do księgi pamiętkowej Andrzeja Ciechanowieckiego, zmieniłem go trochę, i dodałem urywki poezji Xawerego Pusłowskiego. Chciałbym w ten sposób przypomnieć zapożyczonego poetę, którego twórczość ma własne miejsce w polskiej literaturze, a nie znalazła go prawie w publikacjach. Przeszkodziło osobliwe usposobienie człowieka, nie umiającego dbać o swoje sprawy. A pisanie było stałym kontrapunktem jego życia trawionego gorączkowym niepokojem.

Pisane były w Tobolsku, gdzie carska rodzina przebywała na zesłaniu; noszą daty od października 1917 po kwiecień 1918 roku. Urwały się wraz z przewiezieniem Romanowów do Jekaterynburga i — wbrew nadziejom licznych entuzjastów niedawno emitowanego serialu telewizyjnego — raczej śmiercią bohaterki.

Listy Anastazji są ot, po prostu... zwykłe i ludzkie. Żyła dniem powszednim całej rodziny. Wykonywała prace gospodarskie, korzystała z drobnych, dostępnych w Tobolsku rozrywek. Odczuwała niepewność jutra, goręczył kłeski... Martwiła się o bliskich i znajomych, a także o dalsze losy lazaretu dla rannych w Carskim Siole, któremu rodzina Romanowów poświęcała wyjątkowo wiele uwagi, a carówny pracowały w nim jako siostry miłosierdzia. Słowem, ostatnie listy cesarzówny dalekie są od wszelkich potocznych wyobrażeń o dostojności „imperatorskiego majestatu”.

Teksty listów zostały zaczerpnięte z monumentalnego i unikatowego dzieła *PISMA CARSKOJ SJEMJI IZ ZATOCZIENIJA*, wydanego przez Monastyr Świętej Trójcy, Jordanville, Nowy Jork 1974.

W następnym numerze „Dekady” okoliczności uwięzienia i śmierci carskiej rodziny.

Do A.A. Wyrubowej
Tobolsk, styczeń-luty 1918 r.

Moja droga, kochana często wspominam Cię mile, wspominam też dobre czasy. Choć tak daleko od Ciebie, to jednak myślami blisko... Dzięki Bogu jakoś nam się żyje. Urządzaliśmy „przedstawienia” i rzecz jasna same w nich występowałyśmy dla rozrywki. Spacerujemy sobie po naszej zagrodzie. Usypaliśmy małą lodową górke* i teraz zjeżdżamy z niej. Wszystkiego najlepszego, duszko ty moja. Niech Bóg ma Cię w Swej opiece. Całuję bardzo mocno. Kocham i nigdy nie zapomnę. Wszystkim Twoim kłaniam się nisko.

Twoja A.

* Górke tę niebawem zniszczyli żołnierze pilnujący rodziny carskiej.

*

Do jednego z rannych oficerów, pacjentów lazaretu w Carskim Siole (Zachowany fragment listu).

wy przez telefon i wszystko, w ogóle wszystko...
** Również jeden z pacjentów lazaretu.

*

Do Wielkiej Księżny
Kseni Aleksandrowny

Tobolsk, 8/21 marca 1918 r.

Moja najmiłsza Ciociu Kseniu, duszko!

Pięknie Ci dziękuję za kartkę pocztową, którą dopiero co otrzymałam. My wszyscy na razie — Bogu niech będą dzięki — żyjemy i cieszymy się dobrym zdrowiem. Jak zdrowie Babci? Często Was wspominamy i rozmawiamy o Was. U nas prawie wszystkie ostatnie dni były pogodne, a słońce zaczyna już przygrzewać. Ach, jak to miło! Dlatego też staram się przebywać jak najczęściej na powietrzu. Z górki już nie zjeżdżamy, choć ta nadal jeszcze stoi, mimo że oni zniszczyli ją i wykopali w poprzek niej rów ściekowy, a wszystko po to, abyśmy nie mogły już zjeżdżać. No i cóż, wygląda na to, że to zdołało

retu w Carskim Siole (fragment).

Tobolsk, 25 marca 1919 r.

(...) Jak dotąd, chwata Bogu, żyje nam się nie najgorzej. Przyjechał tu z Omska oddział czerwonooarmistów, lecz na razie zachowują się spokojnie. W pierwszy tydzień Postu odprawiliśmy rekolekcje i puszczono nas do cerkwi; modlitwy w ciągu całego tygodnia odśpiewywałyśmy sami, bo często trudno bardzo byłoby znaleźć śpiewaków do nabożeństw odprawianych w domu... Wszystkie nasze zajęcia odbywają się u nas tak jak poprzednio, zarówno rankiem jak i wieczorem. Ostatnio pogodę mamy wręcz cudowną, często przesiadujemy na balkonie ciesząc się różnorodnością tego, co oglądamy... Widzimy ludzi... Teraz siedzę i piszę przy oknie. Jest już trzy na 7-mą, a jeszcze widać. W cerkwiach biją dzwony i to przypomina nam nasz sobór w Carskim. Zamieniliśmy się teraz w prawdziwych dozorców. Odgarnęliśmy śnieg z całego podwórza, po którym

Ostatnie listy carówny Anastazji z rodu Romanowów

Do Wiero Georgiewny
Kaprałowej*

15 października 1917 r.
Tobolsk

Serdeczne dzięki, droga Wiero Georgiewna, za kartkę pocztową. Brat gorąco dziękuje za pozdrowienia i pamięć. Co tam u Pani? Mam nadzieję, że stan Pani zdrowia uległ poprawie. Siostra T.** dziękuje Ninie za list, kt. otrzym. 21 września, lecz jako że właśnie sposobila się do wyjazdu, nie mogła uczynić tego osobiście. Wszystkim, którzy przesyłają nam ukłony, proszę przekazać serdeczne pozdrowienia i podziękowania. Często tu wspominamy jakże bliski sercu lazaret. Poza tym nie wydarzyło się nic szczególnie interesującego, a o całej reszcie pisała Pani siostra. Proszę przekazać tę kopertę Kati, wysyłam ją za Pani pośrednictwem, gdyż uważam, że w ten sposób list dojdzie łatwiej. Wszystkiego najlepszego. Niech Pani wraca do zdrowia. Pozdrowienia dla siostry. Całuję Panią

A.

* Przyjaciółka rodziny, siostra miłosierdzia Lazaretu nr 17 w Carskim Siole (Wszystkie przepisy tłumacza).

** Wlk. Ks. Tatiana.

Do W.G. Kaprałowej
(dopisek do listu Wlk. Ks. Marii Nikolajewny)

Tobolsk, 14 listopada 1917 r.

Serdeczne dzięki, droga Wiero Georgiewna, za kartkę pocztową. Cieszę się bardzo, że czuje się Pani lepiej. Często Panią tu wspominamy i mówimy o Pani. Pani list zachował w sobie ulotną woń Pani perfum, co bardzo ożywiło wspomnienia. Czy pisze coś W. Nik.? Czy pozostała ona jeszcze w lazarecie? Proszę pozdrawić wszystkich swoich. Czy widuje Pani Wierę, Marusię i ich siostrę? Niech Bóg ma Panią w swej opiece. Uściski.

A.

Do Anny Aleksandrowny
Wyrubowej*

Tobolsk, 10 grudnia 1917 r.
Moja miła, kochana, piękne dzięki za ten przesyłany drobiażdżek. Tak bardzo miło jest mieć go przy sobie, choć tak straszliwie przypomina mi on Ciebie. Wspominamy Cię często i mówimy o Tobie, modlic się zarazem. Piesek, któregoś nam podarowała, cały czas przebywa wraz z nami i jest bardzo miły. Urządziliśmy się tu wygodnie. My, cztery, mieszkamy razem. Miło jest widzieć z okien te niezbyt wysokie wzgórza, pokryte teraz śniegiem. Dużo czasu spędzamy w oknach i znajdujemy sobie rozrywkę obserwując spacerujących po ulicy. Pozdrowienia dla Zuka**. Wszystkiego najlepszego, moja droga. Całuję Cię bardzo mocno. Niech Chrystus ma Cię w Swej opiece.

Twoja A.

* (1884—1964), była dama dworu cesarzowej.

** Pielęgniarka Wyrubowej.

Rodzina Romanowów.

Tobolsk, 20 marca 1918 r.

...Z wielkim smutkiem przyjeśliśmy wieść o śmierci Nikolajewicza Wasiliewa**. Wszystkim nam trudno było pogodzić się z myślą, że nie ma go już pośród żywych. Znajomi piszą nam, że wiele listów nie dociera. Bardzo często wspominamy czas spędzony w naszym szpitalu. Pewnie teraz już nikt nie odwiedza mogił naszych zmarłych rannych — bo prawie wszyscy wyjechali z Carskiego Siola. Przypomina Pan sobie chyba Lukianowa* — zawsze był taki miły, choć taki wymizerowany. Zawsze bawił się naszymi bransoletkami, zupełnie jak dziecko. Miałam w albumie jego fotografię, tyle że wszystko to pozostało w Carskim. Teraz piszę ten list w naszej sypialni, przy stole, który służy nam do pisania, a na nim stoi fotografia naszego kochanego szpitala... I w ogóle, czas jaki tam spędziliśmy, wydaje mi się teraz niedywanym miłym. Często zatem wspominamy odwiedzin u chorych, wieczorne rozmowy

ich trochę uspokoić, bo już od dawna górka ta wielu spośród nich kłuta w oczy. A my teraz znalazliśmy sobie nowe zajęcia, pilujemy drewno, a potem rąbiemy je na szcypy. To pożyteczna i bardzo wesola praca. Idzie nam to już całkiem dobrze. W ten sposób, same mając rozrywkę, pomagamy jeszcze wielu innym. Poza tym sprzątamy ścieżki i podjazd (...)

Wszystkiego najlepszego, Ciociu-duszko. Niech Bóg ma Cię w opiece. Wszyscy bardzo ci dziękują za ukłony i przesyłają swoje.

Twoja kochająca Cię A.

*

Do jednego z rannych oficerów, pacjentów laza-

spacerujemy i teraz nie jest już tak brudno. Potem często pilujemy i rąbiemy drewno — wszystko to udaje nam się całkiem nieźle.

*

Do Darii Pietrowny
Tolstoj*

Bardzo Ci dziękuję, Daleczko droga, za Twój list. Jakże długo on siedział — aż od grudnia! Ale i tak dobrze, że w końcu dotarł. Co tam u Ciebie? Często Cię wspominamy. U nas mniej więcej cisza. Jak dotąd pogoda była wspaniała, lecz już ostatnie dni nie są nadbyt ciepłe. W dalszym ciągu pilujemy i rąbiemy drewno, co idzie nam niezgorzej. Naprawiliśmy swoją huśtawkę** i teraz znów możemy się huśtać, lecz powrozy z pewnością szybko się przetną, bo całość nie wyszła nam najlepiej. W naszym małym sadku pełno wody i błota. Mój brat ma niewielką łódeczkę, w której (wielkie słowo!) próbujemy żeglować, choć woda jest zbyt płytka, a od ścieżek odpychamy się patykami; rzecz jasna bywamy całkiem przemożone. Cóż, taka drobna rozrywka! A jak Wy spędzacie czas? Teraz wybieramy się na spacer, więc muszę już kończyć. Życzę Wam wszystkim najlepszego. Serdeczne pozdrowienia dla wszystkich. Całuję mocno. Kłaniam się Pa-
pie i Serge'owi.***

Anastazja

* Daria Pietrowna Tolstoj, „Dalla”, córka Piotra Siergiejewicza Tolstoj, rotmistrza kawalergardzkiego pułku.

** Usunięta potem z poleceń cara, gdyż żołnierze-strażnicy przyzobdobili jej deskę wycimając na niej „nieprzywołalne napisy”

*** Siergiej Pietrowicz Tolstoj, brat „Darii”.

Tłumaczył:

Andrzej Nowak

„Obóz Wszystkich Świętych“ po latach

Maciej Urbanowski

O „Obóz Wszystkich Świętych“ Tadeusza Nowakowskiego jest powieściowym debiutem tego pisarza z 1957 roku. Książka ugruntowała Nowakowskiemu opinię jednego z najciekawszych prozaików literatury emigracyjnej. O jej walorach epickich, bogactwie języka, dobrej konstrukcji pisali tacy krytycy jak J. Wittlin czy J. Sakowski. W przeszłości niejednokrotnie próbowano wydać „Obóz Wszystkich Świętych“ w Polsce, nieprzezwyrodną przeszkodą była jednak współpraca autora z Radiem Wolna Europa; ona też była powodem rozsypania składu gotowej do druku powieści. Dopiero dwa lata temu książka stała się dostępna dzięki drugoobiegowej oficynie „Pokolenie“, obecna edycja „Czytelnika“ ma szansę ukazania niewątpliwych wartości „Obozu...“ szerszemu gronu czytelników.

Książka Tadeusza Nowakowskiego, podobnie jak wcześniejsze opowiadania z tomu „Szopa za jaśminami“ (1947), wyrasta z doświadczeń wyniesionych przez autora z przeszło dwuletniego pobytu w obozie dla dipisów, displaced persons, byłych więźniów hitlerowskiego reżimu. Długie

miesiące po zakończeniu wojny przechodzili swoisty czyszczenie w licznych obozach na terenie Niemiec, czekając na dalszą wędrówkę, najczęściej na emigrację, rzadziej do własnych krajów.

Opisany przez T. Nowakowskiego obóz w Papenburgu czeka na swoją szansę od dwóch lat. Jest rok 1947. Kolejny rok beznadziejnej egzystencji wypełnionej czekaniem. Papenburg widzimy oczyma podporucznika Grzegorzycy, obozowego nauczyciela. Grzegorzycy, posiadający wiele z rzeczywistych doświadczeń autora, to *enfant terrible* obozu, zbuntowany wobec niego, prowokujący rozmaite skandale, a zarazem wnikliwie obserwujący życie papenburskiej społeczności. Dla głównego bohatera powieści Papenburg bowiem to obóz, który jest zarazem obrazem Polski i świata z jego szaleństwami i paradoksami.

„Obóz Wszystkich Świętych“ „leży w krainie absurdu, pod równoleżnikiem smutnej groteski“. I właśnie tutaj człowiek ukazuje Grzegorzycy swoją prawdziwą twarz. Pełen absurdów, obóz jest paradoksalnie prawdziwszy od idyllicznie fałszywej normalności życia pokojowych Niemiec. „Prawdziwe jest tylko to, co widział i przeżył pod tym niebem (...) Reszta jest przywidzeniem i kłamstwem“ powie główny bohater, przypominając pierwszy dzień wolności — oszalały tłum mordujący i gwałcący, zabijający się o łyk alkoholu metylowego, kopulujący wśród umierających. Zdemoralizowane wojną i własnym cierpieniem ofiary stały się katami. Młoda Żydówka i jej przypadkowy obrońca giną zamordowani przez rozwścieżonego absurdalną plotką współwięźniarki. Śmierć bowiem nie budzi w Papenburgu trwogi. Jest co najwyżej przeszkodą w zabawie, czasem „błogosławionym incydentem“ umilającym bezczynność obozowej egzystencji. Tak naprawdę świętość jest nieobecna w Papenburgu.

Nowakowski, doskonale portretując mieszkańców obozu, jest pesymistą, który świadom tragizmu ich przeżyć nie potrafi nie dostrzec zła, małości i głupoty. Stąd tak wiele karykaturalnych wręcz portretów rozmaitych mafiaków tworzących projekty Polski Międzykontynentalnej, „rozpiętej między trzydziestoma krajami przysięgłego osiedlenia.“ Szczególnie zjadliwie portretowana jest w „Obozie...“ „in-

teligencja“ magister Racza, major Kosko, czy nauczycielka Biedronka, kryjąca za bombastycznym patriotycznym frazesem i ideologicznym bełkotem złośliwość, korupcję czy zwykłą głupotę i chamstwo. Grzegorzycy stawia w obliczu tych ludzi pytania, które są być może najważniejsze w tej powieści: „Co to jest patriotyzm? Co to jest ojczyzna? (...) Trucizna czy lekarstwo? Dar niebios czy przekleństwo? Błogosławieństwo czy wymysł piekielny na zgubę człowieka?“ Wszak Papenburg z jego absurdami, złem i głupotą to Polska, tylko mniejsza. Czy dla tej Polski walczył? Czy może Polska to młodość i świat przedwojennej Bydgoszczy tak pięknie oddany na kartach powieści? Dla której Polski rozstrzelano ojca Grzegorzycy, pijaka i hulaka, kochającego aż za cenę życia swoje miasto?

Na te pytania nie ma łatwych odpowiedzi. Nie ma od nich ucieczki. Siub Grzegorzycy z Niemką, Urszulą Heineman, nie pozwala zapomnieć ani o przeszłości ani o teraźniejszości. Nie można uciec od samego siebie. Powrót Grzegorzycy do zniechęconej „kamiennej trumny“ Papen-

burga jest klęską buntownika. „Obóz Wszystkich Świętych“ kryje w sobie wiele gorzkiej ironii, sarkazmu i czarnego humoru. Nowakowski, wnikliwie opisując życie Papenburga, starannie unika patosu martyrologii. Jest to wynik nieufności wobec literatury, — jak powie ustami głównego bohatera — będącej „umoralniającą, pokrzepiającą kosmetyką“, chorą na patriotyczne elefantosis. Gdzie indziej pisał przecież autor „Szopy za jaśminami“: „Literatura, ten nie byle jaki przestępca wojenny, też czeka na swoją Norwimbergę «za» beztrojski stosunek do śmierci i męki ludzkiej, pokazywanej w dydaktycznych, kolorowych obrazkach“. Jeśli więc pojawi się w „Obozie...“ nuta patosu, to blisko niej brzmia tony satyry, groteski czy pamfletu. Nieprzypadkiem nazywano tę powieść „tragikarykaturą“. Podkreślano też zbliżenie obozowych światów Tadeusza Nowakowskiego i Tadeusza Borowskiego, szczególnie „Bitwy pod Grunwaldem“. Nasuwa się również porównanie z inteligentnymi porachunkami, z patriotycznym stereotypem, zwłaszcza z „Jeziorem Bodeńskim“ S. Dygata.

Zachęcając więc do lektury „Obozu Wszystkich Świętych“ pamiętajmy, że nie ku pokrzepieniu serc pisał swą powieść T. Nowakowski. Powiedział bowiem: „(...) ostrożnie z cudotwórczymi, sienkiewiczowskimi witaminami «Pol Podawaj je (...) w niedużych ilościach. I kazać popijać kubkiem zimnej wody.“

Tadeusz Nowakowski: „Obóz Wszystkich Świętych“, Czytelnik 1990.

„ZE ŚMIERTELNEGO ZIMNA“

Marek Mikos

Zaledwie 27 lat minęło od londyńskiego sukcesu powieści Johna Le Carré i już możemy ją kupić w naszych księgarniach! Zresztą książka nie jest wydana w Polsce po raz pierwszy. Niektórzy z nas czytali ją już pięć lat temu, kiedy w drugim obiegu ukazała się nakładem wydawnictwa Rekontra. Zasłużona w publikowaniu „dobrej prozy antykomunistycznej“ warszawska oficyna sięgnęła do książki, która oprócz kardynalnych, posiadała jeszcze jedną, ważną cechę: można ją było zaserwować tak zwanemu przeciętnemu czytelnikowi kryminałów. Przepis na bestseller podziemny okazał się prawidłowy. Odchodząca powoli do drugiego obiegu, znudzona klientela chętniej sięgnęła po portfel i nie zawiodła się. Proponowana nowość traciła co prawda trochę mizykę, trudno jej było jednak odmówić aktualności. Berliński mur, który jest „współbohaterem“ powieści i współautorem sukcesu, mlał się

naadal dobrze, polykał kolejne ofiary i był namacalnym znakiem tego, że zimna wojna skończyła się tylko na papierze.

Czytelnika przed pięciu laty mogło zauroczyć również traktowanie polityki jako beznamiętnego manipulowania ideami i ludźmi, jako gry, w której dla każdej ze stron nie liczy się w ostatecznym rozrachunku nie poza sukcesem. Ta banalna prawda trafiła na podatny grunt w czasie pewnego zmęczenia patriotycznym zademem tak charakterystycznym dla literatury „zaangażowanej“ pierwszych lat po ogłoszeniu stanu wojennego. Sprawnie napisana książka o tym, co wszyscy wiemy, ale czego chętnie posłuchamy, była dobrą odtrutką na zalew „raportów“ i zdecydowanych protestów.

Dobrze napisaną powieść szpiegowską rozpoznaje się już po kilku stronach. Regułę tę potwierdza książka Le Carré. Przejęte z litera-

tury „wysokiej“ bezpośrednie wejście w sam środek akcji, przewaga teatralnej prezentacji i dialogu nad partiami opisowymi i relacją, wprowadzenie bohatera, który lepiej niż zgarbiony nad książką czytelnik radzi sobie w zaskakujących sytuacjach — to wystarczy, by wciągnąć w wir przedstawianych wydarzeń.

W powieści angielskiego autora obowiązuje żelazna zasada prymatu akcji. Stopniowanie napięcia, reterdacja, budowanie sytuacji zawiązanych oczekiwań i nagłych odwróceń biegu wydarzeń o 180 stopni, wszystko to służy tylko jednemu celowi: uwłóczeniu czytelnika opowiadaną fabułą. Nie jest oczywiście prawdą informacja, którą wydawca umieścił na ostatniej stronie błyszczącej okładki. Książka nie wzbogaca techniki realistycznej o nic nowego. Oczywiście że sfunkcjonalizowany opis musi budzić uznanie.

Le Carré potrzebuje każdorazowo nie więcej niż kilku

zdań, by na kartkach książki ożywić typy psychologiczne, o których z chęcią mówimy — „ludzie z krwi i kości“. Ci ludzie, oprócz tego, że są tuzami wywiadu, są równocześnie normalni. Dowodzą tego czasem ku własnemu zaskoczeniu. W automatach do sprawnego wykonywania bardzo ważnych zadań od czasu do czasu coś się zaczyna — zwycięża człowiek. Wiele manipulacji oczywiście wszystko kontrolują, wpisują w plan i bez pudła wykorzystują. Nihil novi? Oczywiście, ale tutaj nikt nie ma zamiaru odkrywać zasady działania wszechświata. Trzeba dać się ponieść przedstawionym zdarzeniom i przynajmniej na czas lektury nie zadawać pytań ostatecznych.

Należy też być wdzięcznym autorowi, że jako były agent angielskiego wywiadu zechciał uchylić rąka tajemnicy na temat działania i struktury tej tak ważnej i pożytecznej (patrz ostatnie wywiady ministra Kozłowski-

gol) formacji. Ze być może te informacje są trochę zmyślone? To zmartwienie jedynie dla tych, którzy chcieliby czytać książkę jako dokument. Jeśli o mnie chodzi, to podczas lektury uwierzyłem we wszystko, co w powieści Le Carré zapisane, a następnie o wszystkim zapomniałem.

Wydawnictwo Literackie we współpracy z, do niedawna podzielną, Oficyną Literacką sięgnęły po książkę angielskiego pisarza w całkiem innym momencie niż Rekontra. Berlińskiego muru już nie ma, książka ukazuje się w rocznicę jego obalenia. Pełni więc w swej nowej edycji funkcję kamienia z rozbitego muru: sprzedawanego na pamiątkę, ku przestrodze, a przede wszystkim dlatego, że po prostu „idzie“, więc można zrobić na tym dobry interes. Nie w tym źródło. Takie połączenie zarady twardego rynku z chęcią podawania czytelnikom rzeczy jednak coś wartych, zasługuje z pewnością na pochwałę.

John Le Carré (właśc. David Moore Cornwell). „Ze śmiertelnego zimna“. Przekład: Robert Stiller. Książka wydana we współpracy Wydawnictwa Literackiego z Oficyną Literacką, Kraków 1990.

CZYTADŁA

Powieści o agentach obcych wywiadów czyta się na ogół jednym tchem i bez specjalnego zastanowienia. „jak leci“. Ale na ogół są to powieści fikcyjne. „Akwa-

rium“ nie jest fikcją, bez powieściowym wyznaniem prawdziwego agenta wojskowego wywiadu ZSRR, który poprosił o azyl na Zachodzie w 1978 r. Kolegium Wojskowe

Sądu Najwyższego skazała go zaocznie na karę śmierci. Suworow żyje do dziś w Wielkiej Brytanii, pod stałą ochroną zachodnich służb specjalnych.

Suworow nie jest pisarzem, ale byłym agentem. Nie usiłuje być błyskotliwy i kusić nas tania sensacją. W jego książce-wyznaniu jest pot, strach, wysiłek fizyczny, chęć bycia najlepszym wśród osób wywiadu sowieckiego. Wraz z Suworowem przechodzimy, nieomal przez dwie trzecie książki, długotrwały specjalistyczny proces szkolenia agen-

ta w tajnych placówkach Związku Sowieckiego, i bardzo, bardzo długo wydaje się — a zapewne o to chodzi też autorowi — że narrator powieści jest jak elastelina w rękach swych szefów i wychowawców; jego rzeczą jest słuchać i wykonywać, nie jego rzeczą jest myśleć. Tu właśnie ujawnia się bezsporny talent pisarski byłego agenta Specnazu: potrafi ukazać w skłonie szczeliny, w których w jego psychice, w jego pozorach zubożała na wszelkie moralne zasady mózg, wkładają się ziarna zwalpienia,

które wiele lat później zaocucują ucieczką na Zachód i prośba o azyl.

Zdawałoby się, że o zbrodniach i bezwzględności KGB czy wojskowego wywiadu ZSRR wiemy już wszystko, ale to nieprawda. Książka Suworowa dopowiada słowa, których nie wymyśliłbyśmy w najbardziej psychopatycznych snach.

Wiktor Suworow „Akwarium“ Editions Spotkania 1990, cena 21.500 zł.

RECYDYWISTKA

PANI SCHREIBEROWA

Czyż może być piękniejsza ulica od ulicy Florjańskiej? Ulica pełna cudów, wystaw, nawoływania przelotnych, dzwiczących, niebieskiego tramwaju, przechodzących ludzi i wielkiej tajemniczej bramy. Ponad tłumem kołysze się idący na szczytach olbrzym, cały oblepiony jest małymi pudełeczkami pasty do butów „Erdal”. Pudełeczka dzwiczą i polyskują przy każdym jego kroku. A na rogu jest sklep z zabawkami. Czegóż tam nie ma! Spojrzenie jak opętane biegnie od jednego do drugiego przedmiotu, z trudem zatrzymując się to na pilce polakierowanej w białe i czerwone grochy, to do drewnianej hulałki, ale nie na długo bo obok stoi druga, piękniejsza, lśniująca niklem, z prawdziwymi gumowymi kołami jak u roweru i misie od najmniejszych do największych. I rząd lalek z pięknymi, zakreconymi w korkociągami lokami. Lalki mają na sobie piękne balowe sukienki, spod których wystają przystrojone koronkami, jak babka mówi, „ineksprymable”. Wszystkie podobne są do małej dziewczynki z ekranu, która podbiła cały świat swoim uśmiechem. Dziewczynki, której wszystkie najsmutniejsze nawet przygody kończą się pogodnymi happy endami, zli zostają ukarani, dobry wynagrodzeni, nad światem panuje pełna ufności wiara w sprawiedliwość. Zda się, że przybrana w koronki i hafty Shirlejka zeskoczy zaraz ze sklepowej półki i zacznie na lodzie wybijając takt lakierowanymi pantofelkami.

Głos babki wyrwa mnie z ekstazy: — Nie dostaniesz tej lalki — mówi jakby odpowiadając na moją niewypowiedzianą prośbę. — Wystarczy ci te, które masz. Najwyżej jak poprosisz panią Marię, to uszyje ci nową sukienkę dla twojej lalki.

Shirlejka wydaje mi się być tak niedoścignioną pięknoscią, że nawet nie ośmieliłem się marzyć o jej posiadaniu. Dlatego też słowa babki nie robią na mnie większego wrażenia. Odchodzimy od wystawy, babka ogląda w przekupki kwiaty, a potem przystaje przed wystawą sklepu z towarami białymi jak głosi szyld.

Babka jakby trochę wahając się wchodzi do sklepu. Półki z góry na dół zapchane są wielkimi belami materiałów. Sprzedawcy spinają się po wysokich drabinach, o ladę uderzają głuchozwijane i zwiżane wielkie bele czy, jak mówią inni, sztuki materiału, wśród których na próżno szukam zapowiadanej szyldem białej tkaniny koloru. Sledząc dokładnie każdą półkę z osobna i już otwieram usta żeby spytać babkę, który to jest właściwie ten białawy kolor, kiedy dostrzegam, że babka jest zajęta zupełnie czymś innym. Stoi przed lustrem w ciemnym kapeluszu, obraca się to bokiem, to tyłem, cofa się, zbliża, przystaje, uśmiecha się do swojego odbicia, a nawet robi „perskie oko” i pyta:

— No co, pani Schreiberowa? Jak pani myśli?

Pani Schreiberowa cała w uklonach powtarza:

— Jak dla pani szanownej stworzone. Jakby specjalnie dla pani szanownej zrobiony.

— Może by zmienić wstążkę? Pasałoby wtedy do czarnej sukni. Albo woalkę. Wolalabym taką w grochy — dopytuje się dalej babka.

— No, może wstążkę, ale woalka musi taka zostać. Fason by się całkiem zniszczył — stwierdza pani Schreiberowa.

Babka podchodzi jeszcze raz do lustra i nagle zdecydowanym ruchem zdejmując kapelusz z głowy.

— Nie, dziękuję pani Schreiberowa. Nie wezmę. Obejdę się na razie. Mam dosyć kapeluszy.

— Taki kapelusz... — dziwi się pani Schreiberowa. — Nieprędko się taki znowu trafi. A zapłacił pani Fischero-wa to pani może później. Nie od dzisiaj się przecież znamy.

— Nie, dziękuję. Rozmyśliłam się — mówi babka zdecydowanym głosem. Wbiła wielką szpilkę do starego kapelusza, wygląda na dionach rękawiczki i odwraca się ku wyjściu. Ku mojemu zdumieniu pani Schreiberowa wydyma pogardliwie usta i wskazującym palcem rysuje na swoim czole małe kółko.

W drodze do domu babka to przyspiesza, to zwalnia kroku, a twarzy ma wypięki a do mnie dobiegają urywane zdania:

— Do czego to dochodzi... Na to, to ja sobie nie pozwolę... Noga moja więcej nie postanie...

Ale po paru dniach zjawia się posłaniec ze sklepu pani Schreiberowej z wielkim pudłem, a babka mówi w formie usprawiedliwienia:

— To jednak była wyjątkowa okazja.

Nadeszła wojna. Ulica Florjańska posmutniała, przycichła i opustoszała. Na szyldach sklepów pojawiły się niemieckie napisy. Babka mijając wystawy nie zatrzymując się. Z półek sklepowych pozniwały białawe i niebiaławe materiały, lalki Shirlejki i wiele innych rzeczy. Któregoś dnia spotkałyśmy na ulicy panią Schreiberową. Szła niepewnie, z opuszczoną głową i na widok babki jakby się czegoś doświadczonego przestraszyła. Na rękawie miała białą opaskę z niebieską gwiazdą. Zatrzymałyśmy się, a babka zawołała:

— Pani Schreiberowa?

W głowie babki zabrzmiało coś dziwnego, tak jakby babka i sobie, i pani Schreiberowej coś wyrzucała. Pani Schreiberowa szybko podeszła do babki i całkiem niespodziewanie pocałowała ją w oba policzki. Po czym przedko odeszła. Tak widziałyśmy ją po raz ostatni. Któregoś dnia dziadek wróciwszy do domu wieczorem powiedział:

— Zastrzelili Schreiberową.

— Co? Jak? — zawołała babka.

— Prowadzili ją w kolumnie Żydów do zamiatania ulic. Jakiś gestapowiec coś do niej krzyknął a ona napuła rzu w twarz. Wtedy Niemiec wyjął rewolwer i zastrzelił ją. Na miejscu.

Babka zbliżała i powiedziała:

— To okropne. Kary nie ma na bandytów — i wyszła z pokoju.

Zastalłam ją po chwili w sypialni. Stała przed szafą z kapeluszem w ręku i wyglądała wstążkę. Na mój widok powiedziała coś, co wtedy wydało mi się dziwne i niezrozumiałe.

— Wobec zbrodni wszyscy jesteśmy winni.

Streszczenie poprzednich odcinków nie drukowanej w Polsce powieści J. Barrona, opartej o autentyczne fakty: Stanisław Lewczenko, oficjalnie korespondent radzieckich „Nowych Czasów” w Tokio, nieoficjalnie major KGB — zgłasza się do ambasady USA w Japonii i prosi o azyl. Amerykanom udaje się wywieźć go z Japonii do Stanów Zjednoczonych. Po pewnym czasie Lewczenko usiłuje dowiedzieć się jakie są losy jego żyjącej w Moskwie rodziny.

KGB dzisiaj: Ukryta ręka (IV)

John Barron

Na początku roku 1980 udało się Lewczenko dozwolnić do Natalii. Telefonował około drugiej nad ranem czasu moskiewskiego, kiedy kontrola KGB była najsłabsza. Przekonał się wówczas o żywotności ducha stalinizmu.

— To ty, Natasza?
— Tak, tak. Staś, czy to ty?
— Tak, to ja.
— Och, ucałowania. Och, och...

Wybuch radości przemienił się wkrótce w łzy, kiedy Natalia, odpowiadając na jego pytania, wyjawiała mu męczarnie, w jakie ją wtrącono. Władze skonfiskowały im konto bankowe, składające się głównie z oszczędności z jej zarobków, i samochód. Odwołano jej pracę, dostała jedynie posadę nauczycielki w ramach połowy etatu, z płacą 73 rubli, czyli pół normalnej pensji, za mało, by móc się dłużej utrzymać przy życiu. Ich syna usunięto ze szkoły.

Będąc obiektem zorganizowanych prześladowań chłopiec nabrał się w nowej szkole podwyższonego ciśnienia i choroby żołądka, która powodowała częste wymioty. Wszyscy, nawet krewni, odsunęli się od niej i nikt, z wyjątkiem matki starszki, nie chciał z nią rozmawiać. Próbowano zarabiać przepisując na maszynie, lecz nie stać jej było na nowe okulary, a bez nich nie była w stanie pisać. Nie, nie otrzymała żadnego listu, paczki ani przekazów pieniężnych.

— Powiedziano mi, że zgodnie z prawem wszyscy jesteśmy współwinni... Żyjemy w strasznej nędzy... Nikt nie może mi w niczym doradzić ani pomóc... Boję się mówić... Jestem w strasznie trudnej sytuacji... To już chyba koniec...

Lewczenko krzyczał, błagał Natalię, by go denuncjowała,

by mówiła o nim cokolwiek, co mogłoby jej pomóc.

— Nic takiego nie zrobię, nie mogę być hipokrytką — odparła płacząc. — Nie zgodzę się na żaden kompromis.

Wówczas to wysłał do ambasady radzieckiej w Waszyngtonie zakamuflowaną pogróżkę, łatwą do odczytania przez KGB: znał przecież różne sowieckie tajemnice. Jeżeli nie ustanie prześladowanie jego żony i syna, zacznie je rozpowszechniać, tocząc tę osobistą wojnę aż do końca życia. Podał adres zwrotny i zażądał odpowiedzi.

W tym samym czasie poczył się stopniowo zmieniać jego stosunek do Stanów Zjednoczonych. Zgodnie ze swym pierwotnym założeniem, że należy Lewczenko dać czas, by sam odnalazł swą drogę do wolności, CIA oświadczyła mu, że może się kontaktować, z kim tylko zechce. Przestrzegano go przy tym, by był ostrożny ze względu na własne bezpieczeństwo, ale nie nakładano żadnych ograniczeń. Za pośrednictwem Roba spotykał się z paroma przedstawicielami wcześniejszej ekipy wywiadowczej, z ludźmi, którzy znali język rosyjski, orientując się dobrze w zagadnieniach historii i kultury Rosji. Odkrył wtedy, że ich poglądy na tragedię narodu rosyjskiego pokrywa się z jego własnymi wnioskami. Nikt nie próbował go nakłaniać do jakiegos szczególnego stosunku do USA, wskazywano mu jedynie na pewne przejawy rzeczywistości, przeczące standardowym mitom sowieckiej propagandy. Coraz częściej zauważał, że demokracja amerykańska, jak i japońska, pomimo licznych usterek, na ogół funkcjonuje poprawnie. Uderzała go także tolerancja religijna ludzi, którzy często króć weale nie zaliczali się do wierzących. Chociaż pozostał wierny Cerkwi prawosławnej, znajdował również pociechę, uczestnicząc w nabożeństwach katolików, metodystów i baptystów, na które uczęszczał za zgodą swego spowiednika.

Łamiąc przepisy i nie pytając o zgodę swoich przełożonych, Rob zaaranżował spo-

tkanie Lewczenki z Wiktorem Bielenką, pilotem, który wyładował „migiem 25” w Japonii, i to w okresie, kiedy Lewczenko jeszcze tam przebywał. Inteligentny, śmiały, porywczy i niepohamowany Bielenko znakomicie zadomowił się w społeczeństwie amerykańskim. Pojął zasady jego funkcjonowania lepiej niż wielu rodowitych Amerykanów. Przejechał przez cały kontynent samochodem, pokazując Lewczenko miasta, miasteczka i farmy środkowego Zachodu, rancza w Idaho i Montanie, winnice i sady Kalifornii i San Francisco. Z San Francisco Lewczenko wysłał kartkę do Roba, w której mówił o Stanach pisał: „Ten straszliwy i wspaniały kraj wolności”.

Nie otrzymawszy żadnej sowieckiej odpowiedzi na swoje ultimatum, ponownie zatelefonował do Natalii do Moskwy. Głodowała i schudła o trzydzieści funtów. Ich syn uciekł z domu, uciekając zaraz przed prześladowaniami w szkole. Nikt nie ośmielił się z nią nawet rozmawiać. Powiedziano jej, że będzie się musiała stawić na jego procesie. Czy jako współwinni, czy tylko jako świadek — tego nie wiedziała.

— Nie mam cienia nadziei... Jestem zgnębiona... Jestem tylko drobnym ziarenkiem piasku.

A potem jego telefony do Moskwy pozostawały już bez odpowiedzi.

Mówiąc Bielenko o ostatnich słowach żony, Lewczenko płakał.

— I czemu się dżiwisz? — odparł Bielenko. — Znasz ich nawet lepiej niż ja. Z nimi nigdy nie można zawrzeć pokoju. Można tylko walczyć.

Ogarnięty wściekłością, Lewczenko zwrócił się teraz do CIA, żądając, by mu pozwolono pracować dwadzieścia godzin na dobę, przez pełny

tydzień. Wyjawiał całą strukturę siatki tokijskiej, budowaną przez KGB w ciągu całych dziesięcioleci. Zidentyfikował ważnych agentów poza Japonią. Wyjaśnił i udokumentował sowiecką doktrynę i strategię Akcji Bezpośredniej oraz dezinformacji. Jak nikt przedtem nakreślił dokładnie związek pomiędzy Biurem Politycznym, Wydziałem Międzynarodowym a KGB. Wymienił wielu ludzi, którzy nienawidzą KGB, mimo iż dla niego pracują. Sam dokonał analiz, z których część uznano za tak dalece ważne, iż przedstawiono je prezydentowi.

W siedzibie głównej i regionalnych biurach FBI, w tajnych salach konferencyjnych CIA, w bazach SB Powietrznych, w Departamencie Stanu, w Kongresie i w Białym Domu Lewczenko głosił prawdę o KGB i o sobie, o tyranii i o wolności. Zawsze też prosił Amerykanów, by zechcieli zrozumieć, że naród rosyjski nie jest niczym wrogiem, za to KGB — jest wrogiem wszystkich.

Niewielu ludzi rozumie KGB lepiej niż Lewczenko; niewiele jest takich, jeśli w ogóle są jacyś, którzy umylniliby równie wiele co on, aby zadąć dotkliwy cios tej instytucji. Ale rozumiał, że w konsekwencji na zawsze pozostanie już człowiekiem ścięganym.

— Może któregoś dnia mnie dopadną. Ale póki tehu w piersiach będę z nimi walczył. Bo jeśli nie podejmiemy tej walki, zdegradowa wszystkie istoty ludzkie do rangi zwykłych ziarenek piasku.

(ciąg dalszy nastąpi)

Tłumaczyli:
Barbara
Sławomirska
Andrzej Nowak

Za co kochamy baśnie?

Marta Wyka

Istnieje tyle odpowiedzi na to gombrowiczowskie pytanie, ilu jest czytelników bajek. Spróbuję zatem, wiedząc nostalgicznie pamięć, przypomnieć czasy moich bajek.

Czytałam je na ogół w okresie Świąt, wielokrotnie, ze łzami w oczach, z przemożną chęcią identyfikacji, która powodowała, iż nie mogłam się nigdy do końca zdecydować. Kim chciałabym zostać? Bzową babuleńką czy królową biał? Małą syreną czy Callineczką? A może Sindbadem Żeglarzem lub jego słynnym wujem, który zapisywał swoje dzieła na koszulach, niebacznie oddanych potem do pralni? Jaki to piękny widok: wuj piszący na brzegu morza, „za stolikiem morze, za morzem Bóg wie co...”

Najbardziej poruszająca była „Mała syrena” (Andersena, jak wszyscy pamiętają). Zaczynała się pięknym opisem: „daleko, daleko, gdzie morze jest niebieskie” — i tam właśnie, w głębinach, mieszkał syreni ród, z najmłodszą latoroślą, która zakochała się w człowieku. Aby go zdobyć — czyli zmienić się w dziewczynę — zgodziła się na czarodziejskie zabiegi, które zapatrzyły ją w nogi, ale nie dały jej głosu. Historia małej syreny jest tragiczna: jakiś czas przebywała ona w pobliżu swojego ukochanego księcia, który jednak pojął za żonę inną. Bajka nie ma zatem dobrego zakończenia, podobnie zresztą jak większość baśni Andersena. Dlaczego ją kochałam? Otóż myślę sobie dzisiaj, że pewne elementy jej

fabulary tworzyły zarys modelu doskonałego wobec prawdziwego życia. Były nim zaś: zdolność do poświęcenia bez granic, miłość romantyczna z wszystkimi jej atrybutami, dążenie do zmiany przeznaczenia, czyli szczególny heroizm. Stowem, baśń stawiała się wzorem, który dałoby się powtórzyć we własnej egzystencji, baśń była również jej uzasadnieniem.

Dziecko nie wie, iż szuka w baśni sensu własnego życia. Ale tak się dzieje i być może baśniowe wykształcenie rzutuje na nasz dorosły los. Tak sądził w każdym razie najwybitniejszy współczesny badacz baśniowych tekstów, Bruno Bettelheim. „Cudowne i pożyteczne” — ta kwalifikacja jest wymowna. Ponieważ Bettelheim był freudyście,

mógł napisać co następuje: „Baśnie to czarodziejskie zwierciadła ukazujące różne przejawy naszego świata wewnętrznego oraz fazy rozwojowe jakie musimy przejść, aby osiągnąć dojrzałość. Gdy zanurzymy się w znaczenia baśniowe, wydadzą się nam one najpierw spokojną tonią, w której odbija się tylko nasza twarz. Wkrótce jednak ukażą się nam w głębi wewnętrzne wiry naszego życia psychicznego. W końcu zrozumiemy, w jaki sposób osiągnąć pokój z sobą samym i ze światem zewnętrznym, pokój, który nagrodzi nasze trudności”.

Klucz Bettelheima gładko otwiera „Małą syrenę”. Oto środowisko codzienne, które nas krępuje i poszukujemy poza nim czegoś innego, nowego, wspaniałego. Nie wahamy się przed żadnym sposobem, aby zrealizować swoje marzenie, choćby on był podstępny i czarodziejski. Lecz gdy już wydaje się nam, że zwyciężyliśmy, marzenie zmienia się w klęskę: mała syrena nie ma głosu, którym mogła-

by obwieścić wybranemu księciu, że to on właśnie jest przedmiotem jej pożądanego. Chodź zatem o to, co tak wspaniale opisał Leśmian w balladzie o dziewczynie i braciach kruszących mur, aby się do niej dostać. Bracia nie znajdują ani dziewczyny, ani nawet jej głosu. Ale podejmują czyn — marzenie i to liczy się naprawdę. Właśnie czyn jest miarą życiowych sensów, bez niego jesteśmy zabawką losu, marionetką podrzucaną przez jego wzburzone i niespokojne fale.

A więc kochamy baśń jako projekcję przyszłej egzystencji, choćby nawet zapowiedziane w niej piękne zdarzenia nie spełniły się. Ale patrząc w głąb siebie, my rzęszczy czytelników bajek, kroczymy magicznym i mitycznym szlakiem, powtarzamy odwieczną wędrówkę. Bo przecież „kiedyś, dawno temu, za górami, za lasami” ta historia zdarzyła się i możemy jeszcze raz wypowiedzieć zaklęcie, aby przywołać ją znowu.

Czytajmy Andersena!

I love you, Woody Allen

Dorota Terakowska

Napis „I love you, Woody Allen” wysmarowała na drzwiach swego pokoju moja 17-letnia córka. Gdyby urodziła się wcześniej pisałaby zapewne „I love you, Humphrey Bogart”. Ale ostatnio minęły czasy wspaniałych, silnych mężczyzn, zdecydowanych na wszystko, mówiących mało, ale stanowczo. Nadszedł czas Woody Allena.

Woody Allen: mały, zgarbiony, brzydki, z wielkim nosem, w okularach, bezradny, słaby, wątpliwy, chwiejny — i mówiący niemal bez przerwy. Do wyboru mamy alternatywę: kochać go — lub nie znośić.

Nie znośiła go komuna i bardzo długo nie mogliśmy obejrzeć jego filmów: szydził z komuny i z komunistów. Ostatnio nie znośi go ekstremalna część prawicy, ponieważ Allen szydzi ze wszystkiego co dla niej święte — z narodowych symboli, z hurra-patriotyzmu, z religii, z wierności małżeńskiej (ale ze zdrady też), a w dodatku nie jest „prawdziwym Polakiem”. No cóż, takie są skutki ideologicznego oceniania sztuki: zawsze pałnie się jakiś idiotyzm, narażając się na śmieśność, bowiem sztuka — w tym także sztuka filmowa

Woody Allena — i tak ocaleje dla potomnych, a lewica i prawica kiedyś przeminą. Może gdy już wreszcie dojdziemy do tej Europy miną nam ciągłe ideologiczne, choć nie jestem pewna; przykład działał Le Pena we Francji jest dość odstręcający. Może Woody Allen znowu będzie zakazany na naszych ekranach?

Moja córka pisze „I love you, Woody Allen” i choć niszczący mi drzwi, akceptuję jej zachowanie! Nigdy nie przekonywali mnie ci wspaniali mężczyźni, mówiący do kobiet „kotku”, „myszko”, „zabciu”. Wspaniali mężczyźni nie ma wątpliwości w żadnym z tematów czy problemów, można hażyć na jego stanowisko w każdej dziedzinie, jest zdecydowany i małomówny. Ale pewnego dnia okazuje się, że to właśnie on jest tą „myszką”. Wątpliwości nie ma — bowiem nie ma też rozum, jest zawsze zdecydowany — bo nie widzi wielości wariantów decyzji, a mówi mało — bo nie ma nic do powiedzenia.

Woody Allen to kłębek wątpliwości, facet który zawsze i ze wszystkim ma problemy, podjęcie decyzji przyprawia go o szaleństwo, a kobieta nie jest dla niego „myszką”,

lecz bardzo skomplikowana istota. Woody Allen chciałby być Humphreym Bogartem, ale nie umie (i chwala Bogu), więc cierpi. Swoje cierpienie zanosi do psychoanalityków, przyjaciel a nawet ludzi obcych — i gada, gada, gada.

Woody Allen kocha Amerykę, więc z niej szydzi. W gombrowiczowski sposób drażni go wszystko to co w Ameryce jest głupie, a ponieważ jest tego mnóstwo, więc drażni go po prostu cała Ameryka. Właśnie dlatego, że ją kocha. Z tej przyczyny nie mógł podobać się lewicy, dlatego nie znośi go hurrabogoojczyźniana prawica.

Woody Allen to kłębek wątpliwości, facet, który zawsze podobnie jak Phillip Roth — szydzi z antysemityzmu, ale szydzi też z antysemickich urazów swego narodu („Synu, przecież nie ożenisz się z gojką, bo nie będzie ci robić kosztownych obiadów!” — wołają jego filmowi rodzice).

Nie ufam wspaniałym, silnym mężczyznom. Ufam małemu, gadatliwemu, pełnemu słabości i zwątpień intelektualistów, którzy cały czas ma problemy ze sobą i z całym światem. Allen wie, że aby w tym świecie przeżyć i nie zwariować, trzeba z niego szydzić, widząc jego wloty świetności i otehtanie głupoty.

Woody Allen, I love you too.

Andrzej Zaręba przedstawia!



Jan Józef Lipski



Krzysztof Skubiszewski

KTO CO CZYTA?

EWA LIPSKA — poetka:

Nie tak dobrze nie robi rzeczywistości jak powroty do przeszłości. Czytam właśnie „Rzymskie epitafia, zaklęcia i wróżby” (Czytelnik 1990), czasami zadziwiająco pogodne, ucinające dolegliwości naszego życia, czasami patetyczne, tragicznie mądre. To właśnie moja lektura ostatnich tygodni.

„Podejdź bliżej, przechodniu i wypocznij chwilę. Nie goździsz się, odmawiasz? A jednak będziesz musiał tutaj wrócić”.

WISŁAWA SZYMBORSKA — poetka:

Czytam teraz monografię Andrzeja Drawicza „Mistrz i diabeł”, o życiu Bułhakowa. Jest to rzecz o pisarzu, któremu nie odebrano tylko życia, odebrano całą resztę. Pozwolono mu żyć, to prawda, ale dla pisarza to jest za mało. Dramat Bułhakowa wydaje mi się być nawet większy, niż dramat Mandelstama, którego zwyczajnie zabito. Stalinizm skazał Bułhakowa na powolną agonię, przedłużone umieranie bez prawa twórczości i kontaktu z czytelnikami. Jest to opowieść o człowieku który miał ogromną wyobraźnię, kipiał pomysłami, a wszystko to było tłamszone przez system polityczny. Umarł z tej zgrzyoty i niespełnienia. „Mistrz i Małgorzata” Bułhakowa to książka wielka, Bułhakow mógł napisać jeszcze większą, ale mu nie dano.

Nasze archiwum

Z „Naszego archiwum” wyjmujemy dziś pismo urzędowe z datą: 17. 04. 1945

„Powiatowy Urząd Ziemski w Nowym Targu

Do
Wojewódzkiego Urzędu
Ziemskiego
Wyd. III w Krakowie

Pow. Urząd Ziemski zawiadamia, że ośrodek 30 ha wyłączony na rzecz powiatowej szkoły rolniczej żeńskiej w majątku Czorsztyn został przez zastępcę powiatowego pełnomocnika do spraw reformy rolnej ob. Machejka Władysława rozparcelowany. Pow. Urząd Ziemski prosi o wydanie ostatecznej decyzji.

(podpis nieczytelny)”

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Gazeta Krakowska”. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elekrowicz, Ewa Lipska, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (sekretarz odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwanluk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska